

Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis

Studia Poetica II (2014)



Cześć, panie Zbyszeczku!

– Cześć, panie Krzysieczku – powiedział do mnie przed ponad trzydziestu laty Zbyszek Bauer.

– Cześć, panie Zbyszeczku – odparłem.

I tak już nam zostało na bardzo długie lata naszej przyjaźni. Aż po jej fatalny bezsensowny koniec 11 kwietnia tego roku.

Zbigniewa Bauera poznałem w końcu lat siedemdziesiątych. Pracowałem wówczas w redakcji „Echa Krakowa”, gdzie pierwsze kroki w dziennikarskim zawodzie stawiała Ewa Smęder, pierwsza żona Zbyszka, od lat już nieżyjąca. Poznaliśmy się przez nią. Kiedy ich związek wszedł w fazę ostatecznego kryzysu, oboje obdarzyli mnie osobistym zaufaniem. Niełatwe to było powiernictwo, ale ugruntowało moją przyjaźń z obojgiem, także wtedy kiedy byli już osobno. Co ważne, gdy kilka lat później rozpadło się moje małżeństwo, Zbyszek przyjął wobec nas identyczną postawę.

Potem wyjechał do Białegostoku, by objąć kierownictwo cenionego miesięcznika reportażu „Kontrasty”. Został jednym z najmłodszych redaktorów naczelnych w Polsce. Mnie z kolei środowisko dziennikarskie Krakowa wybrało prezesem Oddziału SDP. W kraju kipiała bezkrwawa rewolucja „pierwszej” „Solidarności” i na życie prywatne praktycznie nie mieliśmy czasu.

Na dobre związał nas stan wojenny. Zbyszka odwołano i wrócił do Krakowa. Zaczęliśmy się zastanawiać, co to będzie dalej, jak będzie wyglądać nasze życie. Zbyszek, pragmatyczny sceptyk, zawsze starał się utrzymywać dystans do „rozwydrzonej” rzeczywistości. Jego chłodne oceny zderzały się z moimi opiniami podlany mi adrenaliną, której nie brakowało mi nigdy. Ale nigdy też żeśmy się ze Zbyszkiem nie pożarli.

Po wyjeździe na długo do Ameryki, z oddali śledziłem Jego rozwój, pomysły i konsekwentne demonstrowanie postawy lewicowego intelektualisty, także wtedy kiedy publicznie mogło to już przeszkadzać. Ale nie ze Zbyszkiem takie numery. Był intelektualistą odważnym, umysłem bardzo niezależnym, mody i schlebiania były Mu obce i wiem, że się nimi po prostu brzydził.

Bardzo Go lubiłem czytać. Miał eleganckie wysmakowane pióro, frazy Jego tekstów, czy to były felietony, czy eseistyka, miały zawsze piękne metrum i przejrzystą konstrukcję. Stylista-logik najwyższej próby – tak bym Go określił. Kiedyś spytałem go, dlaczego nie zacznie pisać literatury pięknej. „Nie można być naraz krytykiem i pisarzem. Ja poszukuję w języku innych, a nie we własnym”. Tak pewnie narodził się jego doktorat i późniejsza książka poświęcona naszemu wspólnemu guru – Ryszardowi Kapuścińskiemu.

Zbigniew Bauer był niespotykanym typem intelektualisty w szeroko rozumianej przestrzeni mediów; łączył w sobie osobowość i wysokiej klasy warsztat dziennikarza, redaktora, eseisty i – jak to się dziś nazywa – medioznawcy. Umiał tu wszystko. Zresztą o świecie komunikowania gadaliśmy bez przerwy. Ja – były żurnalista, co to oddał się służbie publicznej państwa za granicą, On – wszechstronny człowiek mediów metodycznie budujący swój autorytet uniwersyteckiego profesora i scholara. Obu nas fascynowały medialne konsekwencje przestrzeni internetu. Sądzę, że o tym właśnie Zbyszek napisałby swoje opus magnum – gdyby zdążył. Ale nie zdąży.

Ze Zbyszkiem spotykaliśmy się jeszcze na jednym polu fascynacji. Tym polem była muzyka. Podziwiałem Jego bardzo głębokie znanstwo muzyki poważnej. Potrafił o niej mówić pięknie i po swojemu namiętnie. Pamiętam naszą rozmowę o Bachu i Mahlerze po koncercie Jana Garbarka z Hilliard Ensemble w bazylice o.o. Dominikanów, na który wybraliśmy się razem. A Garbarek z Anglikami często rozbrzmiewał w szczęśliwym domu Ani i Zbyszka przy placu Axentowicza, gdy u nich bywałem.

Przed trzema laty wybraliśmy się ze Zbyszkiem na kilka dni wzajemnej samotni do Ostrego, opodal Żywca i Szczyrku. Przegadaliśmy kilkadziesiąt godzin i parę flaszek. Odniosłem wrażenie, że jest coraz bardziej refleksyjny, przepełniony

melancholią. Jakby Zbyszek coraz bardziej chciał odgradzać się od ataków zwulgaryzowanej rzeczywistości polskiego życia publicznego. Poza tym jakiś czas temu się poważnie wychorował i to chyba nie pozostało w nim bez śladu.

W przeddzień Wigilii od lat dzwonił do mojej Mamy z serdecznymi życzeniami. Wiedziałem, jak ogromne znaczenie miała dla Zbyszka Jego Matka.

Był człowiekiem trudnym, doświadczanym przez los, z pewną zasłoną osobowości, z wewnętrznym zmaganiem się. Sporo o tym rozmawialiśmy, szanując wzajemnie własną prywatność. Ale wiem, że ostatnie kilkanaście lat uważał za spełnione w wielorakim sensie tego słowa.

Urwały się w ułamku chwili.

Cześć, Panie Zbyszeczku. Nie tak miało być.

Krzysztof W. Kasprzyk

dziennikarz, dyplomata, b. konsul generalny RP
w Vancouver, Los Angeles i Nowym Jorku